

Klimat tego wieczoru był niesamowity. Księżyc w pełni, lekki deszcz zaczął kropić ze skąpanych w poświacie chmur. Mogło być ze dwa stopnie, całkiem chłodno, ale temperatura nie ostudziła zapachu żadnego członka „Trójcy”, jak nazwaliśmy naszą bandę dawno temu, jeszcze za czasów zabaw przedszkolnych. Strasznie nas kręciły takie akcje. Gówniarzeria i jej arcyważna misja.

Z centrum musieliśmy przedostać się na rogatki Pawianic. Wskoczyliśmy bez biletów do autobusu linii numer jeden – jednego z dwóch kursujących w okolicy – i po pokonaniu trzech przystanków przeprowadziliśmy nalot na budzące się po zimie pola uprawne, okupujące jakieś dwie trzecie powierzchni miasta.

Już po chwili pewni siebie parliśmy zarośniętą ścieżką biegnącą wzdłuż opuszczonych ogródków działkowych, niegdyś świadczących o aktywnym trybie życia pawianickich emerytów. Brudne i poniszczone budyneczki widocznie nikomu nie pasowały do nowej epoki. Ich opiekunowie zdezerterowali, pozostawiając swoje niedoszłe królestwo cyganom i menelarni. Zawsze obawialiśmy się tego miejsca. Pijany szaleniec mógł wypaść z którejkolwiek altany i rzucić się niespodziewanie z siekierą na niemile widzianych gości; tak się przynajmniej strasziliśmy, wyliczając na palcach legendy krążące o ukrywających się tu zabójcach, zwyrodnialcach i ogólnie mówiąc - psycholach. Szkoda, że w pobliżu nie wybudowano żadnego szpitala psychiatrycznego, żeby nadać wszystkim plotkom jeszcze większej mocy. Jednakże z drugiej strony... i tak się śmiertelnie baliśmy, nawet bez wspomagaczy rodem z podrzędnego horroru. Historie tworzone na kanwie bujnej wyobraźni przeobrażały się w iluzje niebezpiecznie wpływające na rzeczywistość. Teraz działało to przeciwko nam. Dreszczyk adrenaliny towarzyszył każdemu stąpieniu po zabłoconej ścieżce.

- Jakby co, to powiedziałem ojcu, że nocuję u ciebie, Koza – ni stąd ni z owąd zagałem kompana. Wszystko, żeby przerwać cmentarną ciszę. Rodzice nakazali wyjść Kozie z domu w kaloszach, co wcześniej wyśmiałem bezwzględnie po jednym tylko spojrzeniu na tę zabawną, ludzką składankę. Myślałem, że będzie się dąsał, jak ma to w zwyczaju, może nawet zamarkuje lewego sierpowego, ale zważając na warunki atmosferyczno-emocjonalne, zdecydowanie wolał pogadać.

- Okej... Moi myślą, że odrabiam u ciebie lekcje do późna, bo niby chcę mieć spokój w weekend. Co za brednie!

Mariusz się nie odzywał. Zawsze milczał, gdy tylko ktoś wspominał ojcach, matkach, babciach czy dziadkach, ich kalendarzowych świętach albo sprawach pokrewnych jakiegokolwiek sortu. Od dziecka jego jedyną rodziną był pech. Rodzice rozstali się, zaraz po drugich urodzinach niekoniecznie pożądanego potomka, znaczy Mariusza, natomiast on sam został wysłany jak jakaś niechciana paczka do dalszej rodziny. Przez to został niejako skazany na walkę o przywileje i posłuch z kuzynem, co z miejsca stawiało go na nie najlepszej pozycji. Nie warto rozgrzebywać tego tematu, jeśli się spotka Mariusza; wystarczy wiedzieć, że w zastępczej rodzinie wcale mu się nie przelewało.

Po równo pół godziny marszu – zsynchronizowaliśmy zegarki - bezpiecznie przedarliśmy się przez strefę zagrożenia. Gula tkwiąca głęboko w brzuchu z wolna ustępowała pola harcującemu w każdej komórce podnieceniu.

- O ja... - szepnąłem przejęty.

Oto on! Burdel wyłonił się niczym fatamorgana na niekończących się piaskach, dopiero po przetarciu oczu potwierdzając swoje istnienie. Nikt z nas nie miał już wątpliwości. Przybytek z daleka zachęcał przyjezdnych migotliwym, neonowym serduszkim, które dobitnie informowało o profilu prowadzonej działalności.

Był to charakterystyczny budynek w kształcie kostki, może niezbyt porywający architektonicznie, ale za to nad wyraz praktyczny. Zgodnie ze słowami naszego informatora, Juras, stał on na skraju Pawianic, usytuowany zaraz przy głównej szosie. Pod względem ekonomicznym niewątpliwie była to lokalizacja strategiczna dla szanującego się sutenera, ja jednak ciągle nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego akurat u nas, w Pawianicach, dostąpiliśmy takiego „zaszczytu”.

Wczoraj na katechezie ksiądz odgrażał się, że wykończy to miejsce, kiedy tylko usłyszał z tylnych ławek dowcip o „Klątwie Nowickich”, jak we wtajemniczonym gronie tytułowaliśmy cały ten ambaras. Ksiądz Roman, człowiek o słabym wzroku, ale inkwizytorskim słuchu, nie zdołał wyłowić żartownisia i przemąglować go porządnie, jak to miał w zwyczaju, jednak jego groźby można było traktować śmiertelnie poważnie. Nie będzie miał łatwo ten biznes w Pawianicach, można się o to założyć.

Przez ubłocone pola – Koza szczerzył się zadowolony ze swoich kaloszy, przez co prawie nie zdzielił go Mariusz – wtargnęliśmy niezauważeni już prawie pod sam płot zakazanego ośrodka „rekreacyjnego”. Dobrze wiedzieliśmy, że doświadczenie zdobyte dzięki filmom sensacyjnym ze Stevenem Seagal'em czy Bruceem Lee tutaj zaprocentuje. Biorąc pod uwagę nasz wiek, działaliśmy całkiem profesjonalnie: obraliśmy trasę biegnącą z dala od parkingu i lekko oświetlonej pojedynczą latarnią drogi, aby zminimalizować szanse wykrycia. Nie klucząc bezsensownie, od razu zajęliśmy pozycje na tyłach budynku.

Chciałem pogratulować Mariuszowi udanej infiltracji wrogiego terytorium, ale wtedy złamałbym zasadę numer jeden: zachować abolutną ciszę. Pamiętaj, czego uczył cię Jean Claude van Damme, przypominałem sobie. Zasygnalizowałem mu to tylko uniesionym kciukiem.

- Pssst! – zasyczał Mariusz. Starał się, aby jego głos nie utonął w szumie siąpiącego deszczu, ale żeby też wystarczająco dostroić się do naszych uszu – Koza, sprawdź, czy nikogo nie ma przed budynkiem.

- Powtórz – nakazał Koza, słusznie zauważając, że Mariusz mógłby jednak szeptać ciut głośniejsze. Za drugim razem załapał rozkaz. Nie spierał się, bo wiedział, że dzięki obuwiu to on jest najlepiej wyposażonym szpiegiem.

Powoli zaczął przemieszczać się wzdłuż dwumetrowych drzewek, które w zdyscyplinowanym, równym szyku obrastały płot burdelu, kryjąc przed ciekawskim wzrokiem to, co powinno pozostać za zasłoną dyskrecji.

Koza znikł na moment, może dwa. Trwaliśmy z Mariuszem w skupieniu, słysząc tylko własne oddechy i obserwując obłoczki pary buchające z naszych ust. Nie ważyłem się odezwać. Nagle szmer. Drgnąłem ze strachu. Ktoś nadepnął na zeschnięte dźbło trawy.

- Melduję, że na podjeździe zaparkowano BMW - Koza wyłonił się z ciemności i zaczął raportować tak błyskawicznie i niespodziewanie, że po początkowym szoku musieliśmy go prosić, żeby zwolnił. - Obok auta rozmieszczono łysych w sile dwóch jednostek. Pałą teraz pety i klną gorzej niż Rysiek z pierwszej B. Poza tym - czysto.

Koniec końców okazało się, że Koza spisał się całkiem nieźle, lokalizując typków, z którymi prawdopodobnie nie chcielibyśmy mieć nic wspólnego w żadnym z wcieleń.

Postanowiliśmy poczekać, aż w pobliżu budynku nie będzie się kręcił nikt nieporządany. Moment później zostaliśmy tylko my, łysi odjechali gdzieś z piskiem opon.

- Jakoś nikt tutaj nie przyjeżdża, nie rozumiem – rzuciłem do Mariusza, zajętego grzebaniem w plecaku. – Chyba w piątek powinno tu być trochę lowelasów, co nie?

Mariusz nawet nie kłopotał się z odpowiedzią. Rozemocjonowany wyjął za to z czeluści torby przecinak i przejechał palcem po ostrzu. – Jak brzytwa – ocenił.

Ja i Koza nie zostaliśmy wtajemniczeni w ten etap planu, ale jak to bywało z Mariuszem – on wydawał polecenia, a ty je wykonywałeś. Nawet kiedy serce ci łomocze, a ręce drżą, kiedy nieumiejętnie operujesz ogrodniczym sekatorem przy drutowanym płocie.

Ciężko mi było przełamać opór drutu, trwało to wieki, ale w końcu wykonałem dziurę wystarczającą, żebyśmy się wszyscy zmieścili. Popelniliśmy przestępstwo. To dopełniło atmosfery zagrożenia. Bez latarek, osamotnieni, skazani na odgłosy nocy precyzyjnie się przez otwór i gęste tuje.

Pierwszym, co spostrzeżliśmy po przekroczeniu granicy obu światów, było czerwone światło. Nieco wyblakłe, bijące z małych okien piwnicznych wystających kawałek ponad ziemią. Pozostałe okna na parterze i piętrze nie wykazywały czyjejkolwiek obecności na wyższych poziomach domu.

- A więc główna impreza jest na dole... – zauważył zafascynowany natarczywością agresywnych barw Koza.

Tego się mogliśmy spodziewać po burdelu – tanich, chińskich diod zastępujących standardowe żarówki, ochroniarzy bez choćby jednego, zbędnego włoska i więcej niż oczywistego BMW. Kicz. Trochę się zawiodłem, ale krew wciąż pulsowała nerwowo w moich tętnicach. Dalej byłem przemoczoną włamywaczem, któremu grozi poprawczak.

- To chyba tyle, nie? – zauważyłem. Przez myśl przebiegła mi wizja siebie z włosami zgolonymi na dwa milimetry i jękającego się przed waźniakami z sądu rodzinnego. – Wbijmy, zanim tamci wrócą!

- Daj spokój, zajrzyjmy jeszcze tylko przez okna – zawyrokowali zgodnie Mariusz i Koza. A jak Mariusz coś powie... To wtedy wiadomo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.